

MAGDALENA MALIŃSKA

ILE WIDZISZ CZASZKA?

Piotr Głuchowski, Marcin Kowalski, *Apte. Niedokończona powieść i Ryszard Apte, Niepokój*,
Kraków: Korporacja Ha!art, 2010, s.157.

Podobno bezpośrednio po śmierci Jana Sebastiana Bacha arkusz jego odręcznego pisma nutowego kosztował na targu w Lipsku tyle, ile zawinięty weń pstrąg.

Nie jest dziś wyzwaniem stosownie ocenić wielkość jego geniuszu. Chcąc powiedzieć na ten temat coś nowego, należało by zainwestować jednak w sensacyjny scenariusz rozgrywający się na marginesie oficjalnego życiorysu Bacha, oparty na przykład na podejrzeniu, że najpiękniejsze ustępy Mszy h-moll wyszły spod pióra jego żony, kochanki lub kochanka.

Czy jesteśmy jednak skłonni pomyśleć o twórczości Bacha jako o palimpseście, na który złożyły się wysiłki nie tylko samego kompozytora, lecz także jego synów oraz kolejnych osób, które z uporem i wiarą gromadziły i przechowywały jego dzieła aż do połowy XIX wieku, kiedy w końcu zaczęły cieszyć się popularnością, i wreszcie – Wolfganga Schmiedera, który skatalogował je w roku 1950 i gestem tym ostatecznie je ocalił?

*

Ha!art ponownie dokonuje rzeczy, zdawałoby się, niemożliwej: wypuszcza na rynek wydawniczy produkt, który wprawia w zachwyt, ale i zakłopotania.

To książka zawieszona nie tylko pomiędzy różnymi gatunkami, fikcją i dokumentem, ale też pomiędzy wtedy i teraz, pomiędzy wysublimowanym i przyziemnym, stosownym i tym, czego nie wypada, pomiędzy oswojonym i obcym, w końcu – pomiędzy *Aptem*, Głuchowskim i Kowalskim – trzema nazwiskami, które znajdziemy na okładce.

Można tę książkę rozdzielić, zgodnie z sugestią wydawcy, na dwie równoważne części: faksymile znalezionego w zeszłym roku na strychu w Wieliczce zeszytu z wojennymi rysunkami Ryszarda Apteego, nieznanego dotąd żydowskiego młodego intelektualisty oraz na opowieść o jego krótkim życiu, z pietyzmem zrekonstruowaną przez współczesnych autorów na podstawie wspomnień jego rówieśników i okruczeń informacji rozproszonych po archiwach na całym świecie. Będziemy mieli wówczas w lewej ręce materiał graficzny, konkretny, cudem ocalone dzieło, w prawej zaś odpowiedź na pytanie, które zwykliśmy sobie stawiać, obcując ze sztuką (jeśli nas zaintrygowała) – kim był autor owego dzieła i jaki wpływ na nie wywarł jego życiorys.

Jednak przy takim podejściu pozbawilibyśmy tę pozycję co najmniej połowy wartości. Najważniejsze, co

można odnaleźć w *Aptem*, wydarza się pomiędzy. By posłużyć się językiem arytmetyki, zamiast dodać do siebie obie książeczki, wypada je przez siebie przemnożyć.

**

Autorami *Apteego. Niedokończonej powieści* są dwaj dziennikarze specjalizujący się w reportażu historycznym. Na stronie 108, przed wyszczególnieniem źródeł historycznych, zapewniają jednak, że książka, której właśnie byliśmy świadkami, nie mieści się w ramach tego gatunku. Nikość źródeł, na podstawie których postanowili zrekonstruować możliwy przebieg życia Ryszarda Apteego, wymagała bowiem wykazania się wyobraźnią, czy – jak chcą autorzy – fantazją. Dodałabym jeszcze: empatią i osobistym zaangażowaniem. I determinacją. I przekonaniem, że opowieść ma moc ocalającą, mimo że na ocalenie jest już za późno.

Poza wstępną częścią wyjaśniającą to, jak zeszyt Apteego przetrwał do dzisiaj i jakim cudem ujrzał światło dzienne, niemal cała (o)powieść pisana jest w czasie teraźniejszym: z jednej strony *praesens historicum*, z drugiej – w ulubionym czasie reportażu literackich. Obu zastosowaniom przyświeca ten sam cel: skrócić dystans, umieścić czytelnika możliwie

najbliżej rozgrywających się niejako „tu i teraz” wydarzeń, pozwolić mu poczuć na własnej skórze to, co czuje bohater, zza którego pleców opowiada się historię „możliwie najbliższą temu, co wydarzyło się naprawdę” (s. 108). Atmosfera przedwojennego, inteligentnego, żydowskiego Krakowa, w jakiej wzrasta Apte, może być dla współczesnego czytelnika trudna do wyobrażenia, dlatego towarzyszy mi Rysiowi już od dnia jego narodzin. Autorzy pozwalają nam poznać ten świat i zaprzyjaźnić się z nim krok po kroku, przedmiot po przedmiocie, postać po postaci, by potem – krok po kroku, przedmiot po przedmiocie i postać po postaci – świat ten nam odebrać, tak jak i jemu go odebrano.

Ryszard Apte jest bohaterem niemal heroicznym – w najlepszym żydowskim gimnazjum w Polsce osiąga wybitne wyniki, cieszy się popularnością wśród rówieśników, ma niebawale powodzenie u dziewcząt, podziwiają go również dorośli. Wyróżniają go rozmaite talenty sportowe, artystyczne, jest także nieskazitelny moralnie, a na domiar tego wszystkiego – dzięki wzorcowej, kochającej rodzinie z bardzo wysokich sfer – roztaczają się przed nim jedynie świetlane perspektywy, zarówno materialne, jak i towarzyskie. Arystoteles nie byłby zadowolony z takiego bohatera. Trudno utożsamić się z kimś tak bliskim bogom, o ile nie jest... śmiertelnikiem.

Zdaje się, że ta czająca się gdzieś z tyłu głowy potencjalna zazdrość, stłumiona przez świadomość naznaczenia piętnem śmierci (w dodatku – śmierci zawieszanej, bo narrator na początku opowieści zasiewa w nas ziarno wątplenia [nadziei], że Ryszard wcale nie zginął wtedy, kiedy w Wieliczce uznano go za zmarłego), jest pierwszym z ambiwalentnych więzów, którymi autorzy przywiązują nas do Aptego.

Drugim jest konstrukcja fabularna tej (o)powieści. *Apte. Niedokończona powieść* jest po prostu doskonale wymierzoną, skrojoną i uszytą ze skrawków świadectw i pięknej materii języka historią, której na niczym nie zbywa i w której niczego nie brakuje, skonstruowaną tak, by utrzymać czytelnika w napięciu aż do samego (a przecież boleśnie – jeśli nie *wiado-*

*me*go, to przynajmniej *przeczuwanego*) końca. Jeśli dać się ponieść tej grze fikcji i dokumentu, do ostatniej strony naiwnie, ze świadomością własnej naiwności, trzyma się kciuki, że może jednak... jakimś cudem...

W chwili śmierci bohatera, jeśli dobrze rozumiem zamiar autorów, otwiera się kompozycja, co decyduje właśnie o „niedokończoności” jego opowieści. Odbiera się mu bowiem życie na samym jego progu, głos więźnie w gardle w aufstakcie. Nie sposób nie zadać sobie pytania, co znaczyłoby dzisiaj nazwisko Ryszard Apte, gdyby nie faszyzm.



Ale jest jeszcze drugie otwarcie, druga niedokończoność (nieskończoność?), a zawdzięczamy ją fabularyzacji Holokaustu, temu ambiwalentnemu na wskroś zabiegowi, którego nie miały odwagi się podjąć poprzednie pokolenia. Dla przeważającej części świadków Zagłady była ona czymś zrywającym ciągłość narracji, czymś, na opisanie czego nie znajdowali słów. Do tej pory najbardziej adekwatną formą wyrazu przy opisie Zagłady było właśnie milczenie, zawieszenie głosu, urwanie opowieści. Dla rówieśników Aptego nie ma bowiem możliwości połączenia czasu przed i po Zagładzie pod łukiem jednej narracji.

Zdaje się, że przemiany, jakie dokonują się ostatnio w polskiej literaturze, sygnalizują – wraz z pojawieniem się nowego pokolenia pisarzy – nadejście innego sposobu na opowiadanie o tych wydarzeniach. Jednak nawet na tle

nowatorskiej literatury przypisywanej zjawisku postpamięci, *Apte. Niedokończona powieść* jawi się jako zjawisko odrębne, bez precedensu.

Ryszard Apte w swoich grafikach gra z widzem w sposób, który można chyba skojarzyć ze stylem rysunków-tamigłówek z cyklu „ile widzisz...”. Pierwszy szczegół, który przykuwa spojrzenie, okazuje się po chwili elementem składowym czegoś większego, a pozornie nieznaczące tło – ostatni element, który wzrok poddaje interpretacji – okazuje się mieć także swój kształt i wymowę. Kompozycja szkatułkowa *Ulicy upiórów* mogłaby nosić podtytuł: Ile widzisz czaszek i posłużyć za ilustrację zabiegów narracyjnych tej książki. Oto z mroków historii i niewiedzy, w których jedynym pewnikiem jest relikw – zeszyt z rysunkami, pleciony jest utwór literacki o cechach dokumentu „tu i teraz”, który ewidentnie ma misję do spełnienia, jest wycelowany w przyszłość i otwarty na reakcję czytelnika. A to czytelnik jest największą niewiadomą w tym równaniu. Jedyne, czego można się po nim spodziewać na pewno, to przyzwyczajenie do pewnych chwytów fabularnych, które trzeba umiejętnie wykorzystać.

Ten zabieg działa jak zakłęcie, jest sposobem na to, by historia Aptego nigdy nie mogła się zakończyć, by odsuwać jego śmierć w nieskończoność. W centrum uwagi należy umieścić bohatera (do którego przemyśleń, wspomnień, świadectw – poza rysunkami – nie mamy dostępu), którego *przemysleli*, opracowali w pamięci autorzy archiwalnych zapisków, które to zapiski i rysunki ktoś przez wiele lat przechowywał w nienaruszonym stanie, by potem przeczytali, *przemysleli* i zaklęli je w fabułę autorzy (dwaj!) *Aptego. Niedokończonej powieści*, którą to książkę przeczytałam ja, referująca czytelnikom „Cwiszn”...

Ile widzisz czaszek?

Magdalena Malińska – doktorantka Instytutu Literatury Polskiej UW, redaktorka „Res Publici Nowej”, współpracowniczka „Cwiszn”, publikowała też w „Przeglądzie Humanistycznym”. Zajmuje się muzyką, mikrohistoriami i migracjami w teorii i praktyce.